Cena numeru 20 gr.

NARÓD GOSPODARZ

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I GOSPODARCZY.

Redaktor przyjmuje tylko po telefonicznem porozumieniu się z nim tel. 177-66 od godz. 5 do 7 po południu.

ROK I. WARSZAWA Nr. 2
Niedziela 19 sierpnia 1928 r.

Adres redakcji i administracji ul. Marjensztadt 1 m 12 konto czekowe P. K. O. 16414.

OBYWATEL I PAŃSTWO

Naród panujący t. j. naród który jest i był twórcą losów Państwa występuje w stosunku do innych mieszkanców w roli gospodarza.

Dziś, niestety, każdy osobnik formalnie tylko zaliczony w poczet obywateli państwa zachowuje się jako jego gospodarz.

Jak dalece państwo na tem cierpi zrozumiemy jeśli podkreślimy podobieństwo sytuacji właściciela i dzierżawcy ziemi.

Pierwszy czuje się związanym z ziemią swoją. Przywiazuje się do niej nietylko przez korzyści lecz również uczuciowo. Kocha ją miłością trwałą i głęboką. Kocha tę właśnie, a nie inną ziemię.

Dzierżawca kocha tylko zarobek jaki ta ziemia mu przynosi. Pierwszy gospodaruje — drugi eksploatuje.

Dzierżawca nie myśli o tem, ażeby gospodarstwo podnieść, tylko żeby za pieniądze z tego gospodarstwa wypompowane nabyć dla siebie inne gospodarstwo.

A na pozór interesy obydwu i stosunek ich do ziemi jest identyczny.

Nasi współobywatele nie polacy w mniejszym lub większym stopniu są dzierżawcami praw w państwie. Ich sentyment do kraju mierzy się jedynie sumą dostatków jaki ten im daje. W naturalnej zresztą ofensywie zdobywczej walczą o maximum „zysków z dzierżawy". Granicą dla tego maximum stanowi nie określona ilość potrzeb tylko jaknajwiększa możliwość w danej sytuacji. I to jest ich prawo naturalne. A ponieważ jest naturalne, więc napróżno kopję kruszyć i wzywać ich do wstrzemięźliwości.

Trzeba jedynie, żeby równolegle działało drugie prawo jeszcze bardziej naturalne, t. j. prawo suwerenności narodu panującego. Z jednej strony stanie naród gospodarz — z drugiej naród dzierżawca — wtedy ułożą się o warunki.

Naród - gospodarz powie: będziemy (polacy) bronić (wojsko) granic, któremi zabezpieczamy wasze warsztaty pracy i waszych zarobków (zbiory, warsztaty i t. p.), za to wy pomożecie nam w tem proporcjonalnem stosunku.

Jeżeli umowa przez obie strony będzie dotrzymana — nic nie stanie na przeszkodzie do braterskiego współżycia.

Czcijcie współobywatele nie polacy wasz język, waszą wiarę, wasze tradycje, ale pamiętajcie, że gospodarzowi winni jesteście względów właściwych.

Naród Polski to dobry gospodarz — pracowity, dobrotliwy, wytrwały i gościnny. Zajrzyjcie do historji, to się przekonacie, że Polska była jedynym krajem, w którym nigdy niebyło masowych prześladowań za wyznania, za narodowość, za przekonania. Nawet wtedy, gdy rządziła szlachta w Polsce, a na całym świecie srożyły się prześladowania żydów, heretyków, i t. p. Myśmy nie znali rządów inkwizycji.

Dla tego oświadczając naszym współobywatelom nie polakom, że będziemy gospodarzami w całem znaczeniu tego słowa tem samem mówimy *witajcie mili starzy (goście) przyjaciele*. Witajcie i pomnijcie, jak Kuba Bogu, — tak Bóg Kubie.

Dlatego nasz artykół §3 brzmi:

„Naród - Gospodarz uznaje zasadę równości wszystkich obywateli wobec prawa, wobec opieki państwa, opieki społecznej, o ile przez uznanie suwerenności praw narodu polskiego i wykonywanie wszystkich obowiązków obywatelskich na to miano zasługują.

OŚWIATA *)

Nie da się zaprzeczyć, że wszystkie niemal instytucje opierające swój byt na zasadach demokratycznych, funkcjonują bardzo źle. Od Sejmu zaczynając, na Kasach Chorych kończąc.

Skutkiem tego jest dość rozpowszechnione utyskiwanie na Bogu ducha winną demokrację. My widzimy przyczynę nie w systemie, nie w ideologji, tylko w ludziach. W ludziach, dla których demokracja jest dobrym interesem jedynie.

Demokracja jest w modzie, nic nie kosztuje, a daje czasem bardzo dużo.

Pan X. mierny lekarzyna, ale mocny w buzi. Cóż ma zrobić, jeśli chce dostatnio żyć? Demokratą stać się moi panowie. Głowa niedopisała — język wyratuje. Bądźcie pewni, że ujrzymy go niedługo dyrektorem kasy chorych, członkiem zarządu bardzo demokratycznego stronnictwa. Trudno się spodziewać aby demokracja dobrze na tem wyszła.

A kto go wynosi do godności?

Lud.

A kto klnie potem na Sejm, na Kasę Chorych?

Lud.

Bo lud jest niedostatecznie przygotowany do ustroju demokratycznego. W masie swej jest jeszcze stworzeniem pierwotnem. Bawi go władza, jaką

*) W następnym numerze P. T. Czytelnicy znajdą objaśnienia przy pomocy przykładów.

mu daje demokarcja, a nie rozumie odpowiedzialności.

Upaja się pochlebstwami przywódców, a bardzo rzadko rozumie do czego oni dążą.

Wypadki ocenia na długość dnia, lub tygodnia. Wszystko mierzy miarą swego garnka i sądzi, że to jest miara prawdziwa.

A gdy obliczenia zawiodą — przeklina wodzów, szuka nowych.

A nędza, córka głupca i złodziejki, coraz bardziej szarpie trzewiami mas. Kraj o złotodajnej glebie, kraj bez dróg, bez przemysłu prawie — cierpi głód, ma setki tysięcy bezrobotnych. — Mądry, mądrym powierzy ster władzy, głupcy głupiego wybiorą.

Jedno jest lekarstwo na tę chorobę demokracji, jeden środek, który pozwoli ludzkości uczynić pierwszy krok naprzód — to oświata.

Niech za każdym żołnierzem, stojącym na granicy, stanie nauczyciel wewnątrz kraju.

Niech tak, jak od żołnierza nikt nie żąda zapłaty za naukę wojenną, nie żądają i od młodzieńca — (dziewczyny), zapłaty za naukę w czasie jej trwania — a zobaczycie powoli co może zdziałać naród oświecony (zbiorowym) wysiłkiem.

Pamiętać jednak należy, że żołnierz spełniając obowiązek służby wojennej czyni to jedynie dla dobra kraju. Obywatel zdobywający oświatę nie tylko staje się cenniejszym majątkiem społecznym, lecz bardziej namacalnie polepsza własny byt materjalny.

Skoro wiedza nabyta jest majątkiem jednostki, słuszną jest rzeczą aby jednostka, nabywając przy pomocy społeczeństwa majątek wiedzy, zwróciła mu koszta jej uzyskania. Oświata nie może być jakąś jałmużną, szczególniej, że bezpłatna oświata jest ukrytym podatkiem nałożonym nie zawsze na tego, który z jej dobrodziejstw korzysta. Bezpłatną jest jedynie dla tego, który osobiście czerpie z niej korzyści, natomiast bardzo płatną jest dla Państwa, które przecież musi utrzymać personel, budować gmachy i t. p. A przecież skarb państwa rodzi się w kieszeni obywateli.

Koszta więc oświaty muszą ponosić ci, którzy z niej korzystają. Jednak pamiętać należy, że nie wolno dopuścić, aby w ten sposób prawo do oświaty otrzymali tylko bardziej zamożni obywatele.

Państwo narodowe kwestję rozwiązać winno drogą wprowadzenia „indywidualnego kredytu oświatowego".

I. K. O polega na tem, że każdy osobnik (syn lub córka obywatela państwa) na własne lub wychowawców żądanie może być przyjęty do uczelni państwowych, zależnie od stopnia posiadanych wiadomości naukowych. Koszta związane z nauką pokrywa Ministerstwo Skarbu z I. K. O. tytułem zaliczek. Zainteresowany t. zn. korzystający z oświaty miast opłacać gotówką, składa do kasy uczelni „skrypt dłużny" na rachunek I. K. O Z końcem każdego roku zainteresowany otrzymuje rachunek należności na rzecz I. K. O. Po ukończeniu studjów Izba skarbobowa rozkłada spłaty wraz z procentami na lat 10 (dziesięć — piętnaście) w ratach kwartalnych, w ten sposób obejmie całą sumę wydatków państwa na naukę danego osobnika. Do lat określających granice pełnoprawnego działania skrypty dłużne podpisują rodzice lub opiekunowie.

To też nasz artykuł 4 brzmi:

„Zastosowanie systemu indywidualnego kredytu oświatowego jest jedyną formą umożliwiającą rozwój systemu nauczania i udostępniającą oświatę dla wszystkich."

INWALIDZI I ICH PRAWO

Ktokolwiek dotyka spraw inwalidów — myśli o dobroczynności i jałmużnie.

Inwalidom trzeba dać jeść — tak się publicznie stawia kwestję inwalidzką. Inwalidów trzeba nauczyć pracować — oto jest nasza teza.

Inwalida wojny czy pracy nie przestaje być stworzeniem najwyższego gatunku, nie przestaje być człowiekiem. Przez pozbawienie go tej czy innej kończyny staje się natomiast fizycznie innym człowiekiem.

Od pierwszych dni życia uczono go i sam się uczył używać skomplikowanego mechanizmu swojego ciała. Z latami nabywał wprawy w używaniu części swego ciała, dochodził do zautomatyzowania swych ruchów. Zdrowy człowiek nie myśli o poruszaniu nogami kiedy idzie, rękami — kiedy np. kręci korbę i t. d. Kiedy był dzieckiem, lub po długiej chorobie musiał najpierw nabrać wprawy, to zn. musiał myśleć o nauczeniu się wykonywania pewnych ruchów.

Aż tu ucięto mu nogę. Cały organizm jest nastawiony na pracę obu nóg. Świadomość kalectwa zmusza go do pamiętania, że zamiast czynności np. lewej nogi, podobnej zupełnie do czynności prawej (zdrowej) należy wykonać szereg innych czynności mięśniami lewego biodra, aby to drewno zastępujące lewą nogę posunęło się naprzód. Zdrowy człowiek myśli tylko o tem dokąd i którędy ma iść, inwalida musi myśleć i o tem jak ma poruszać nogami by wogóle iść.

Sam musi dojść do tajemnicy chodzenia po schodach ze sztywną nogą, sam musi dojść do tajemnicy zapalenia papierosa mając jedną rękę.

Inwalida przeżywa nowe, lecz smutne dzieciństwo, jeżeli chodzi o naukę korzystania z części swego ciała. Czyż można się dziwić, że jest bardziej bezradny, aniżeli jego zdrowy kolega. Czuje się gorszym, pokrzywdzonym, upośledzonym.

A obecnie wciska mu się do rąk jałmużnę.

Jeśli chodzi o kalekę od urodzenia, jałmużna nie jest ani upokarzającą, ani niesprawiedliwą. Ktoś kto nigdy nie mógł być użytecznym społecznie osobnikiem, może mieć żal do życia, ale nie może się obrażać za jałmużnę. Co innego znowu, gdy osobnik stracił zdrowie w służbie społecznej na wojnie, czy przy pracy. Użyteczność społeczna jego istnienia została z chwilą kalectwa przerwana lub zmniejszona, a stało się to w trakcie wykonywania użytecznej czynności.

Nie należy samego faktu takiego kalectwa podnosić do roli bohaterstwa. Miarą zasługi musi być suma korzyści społecznych, materjalnych czy moralnych, a nie stopień kalectwa.

Z drugiej znowu strony społeczeństwo ma święty obowiązek umożliwić takiemu osobnikowi przystosowanie się do zmienionych warunków jego życia.

W tej mierze idziemy po linji najmniejszego oporu. Zapomoga lub koncesja tytoniowa — nic ponadto wymyśleć nie możemy. Nie są to drogi prowadzące do celu, równocześnie nie są to metody słuszne.

Praca może dać zadowolenie tylko wtedy, jeżeli się ją wykonuje z zamiłowania. Zapytajcie inwalidę

ślusarza, murarza, sprzedającego w budce papierosy,czy kocha swoją pracę, swoją budkę. Spójrzcie z jaką niechęcią sprzedaje wam papierosy. Zauważcie jak niechlujnie utrzymuje swój warsztat pracy. Dla czego? — Bo on śni o dawnej pracy, bo zazdrości tym, którzy go w niej zastąpili. Każda praca jest posterunkiem społecznym, to też społeczeństwo źle zrobiło stawiając na danym posterunku człowieka obcego duchem.

Na innej drodze należy szukać rozwiązania zagadnienia. Obok instytutu badań psychotechnicznych, należy powołać do życia instytut pracy inwalidzkiej. Zadaniem takiego instytutu było by:

1) drogą studjów w kraju i zagranicami dochodzić metod przystosowywania do pracy we własnem zawodzie inwalidów;

2) powołać do życia szkoły pracy inwalidów wg. zawodów;

3) opracować system że tak powiemy przeszkolenia inwalidów.

Człowieka bez nóg, czy rąk trzeba nauczyć zarabiać na swój cheb własną pracą, bez cienia „łaski pańskiej".

WYCHOWANIE OBYWATELI

Zacznijmy od poruszonej przez „Głos Prawdy", sprawy młodzieży akademickiej i stosunku do niej pana profesora Jarra. Już sama forma, użyta przez to pismo dobitnie stwierdza jak wiele nam brakuje do miana dobrze wychowanego obywatela. Ale nie o wychowanie „Głosu Prawdy" nam chodzi. Sama sprawa stosunku ciała profesorskiego do młodzieży wymaga rzeczywiście omówienia. O ile zadaniem szkoły średniej i niższej w dziedzinie wychowania jest przyzwyczajenie młodzieży do karności o tyle zadaniem wyższej uczelni jest przygotowanie młodzieży do samodzielności, inicjatywy i odwagi cywilnej.

O tem, niestety, ciało profesorskie zbyt często zapomina. Na palcach można policzyć profesorów, którzy zachowują piękną przedwojenną tradycję koleżeństwa.

A przecież tego koleżeństwa opiekuńczego tak potrzebuje nasza ucząca się młodzież.

Zajrzyjcie w indeks ich życia przed uniwersyteckiego. Ojciec na wojnie, w szpitalu, zabity, matka w nędzy.

Ledwo stał się młodzieńcem miast rozrywek właściwych wiekowi — Ojczyzna go powołała do obrony granic.

I wy się dziwicie, że jest źle przygotowana do wyższych studjów, że jest rozpolitykowana.

Toć młodzież w żyłach ma młodą jeszcze krew, — każdą pracą przejmuje się serdecznie, angażuje cały system nerwowy, kocha swój kraj i nie może być obojętną w chwili gdy toczy się niewidoczny jeszcze, ale już tytaniczny bój opinji o przyszłość Polski — taką lub inną.

Tak jest panowie wychowawcy! Młodzież jest źle przygotowaną do studjów, jest rozpolitykowaną.

Tem bardziej Naród od was, panowie wymaga, abyście ukoili jej rozdygotane nerwy, abyście ją przygotowali do studjów.

Zostawcie życiu obowiązek „przesiewania" — ono jest nieubłagane, ale sprawiedliwe — szacuje całego człowieka, nie tylko jego nerwy.

Są takie piękne i użyteczne przepisy dla policji, mówiące o tem, jak to grzecznie należy obchodzić się z oskarżonym, jak niemoralnem jest straszenie, denerwowanie krzykiem, złośliwością, dowcipem.

Ponieważ, panowie egzaminatorzy, traktujecie egzaminowanego jako *oskarżonego o brak wiedzy* przeczytajcie te przepisy.

Zyska na tem sprawa narodowa. Wiecie przecież, że wynik egzaminu jest rezultatem wiedzy i zdrowych nerwów po połowie.

W jednem z miast powiatowych w okolicach Warszawy na czterdziestu kilku uczniów ostatniej klasy, otrzymało maturę 4 czy 5. Dyrektor tego gimnazjum jako nagrodę otrzymał dyplom dymisyjny. Słusznie! Jeśli uczeń nie umie przedmiotu, to nie tylko jest jego wina, to jest wina również nauczyciela.

Wyższa uczelnia, to nie ring bokserski — to świątynia nauki. Uczyć trzeba, a nie „przesiewać".

Gdy nauczyciel, czy profesor występuje w roli „Maciejowskiego" uczącej się młodzieży — stawia gilotynę nauce.

Młodzież uczy się kochać naukę, poprzez miłość i przywiązanie do nauczyciela. — A tego zamiłowania do nauki tak mało jest w naszem narodzie.

Cóż z tego, że młodzież wykuje prawo rzymskie, jeśli równocześnie znienawidzi samą naukę prawa.

Młodości — górna twych lotów potęga — woła wieszcz! Nie podrywajcie więc skrzydeł, uczcie raczej jak lecieć należy. Bo młodzież to jutro Polski!

OFENZYWA DUCHA

Jest doskonałe przysłowie wschodniosłowiańskie: pod kamień leżący nawet woda się dostanie.

To przysłowie przychodzi na myśl ilekrotnie mówimy o naszej ofenzywie ducha.

Co prawda często, zbyt często nawet, mówimy o dziejowem posłannictwie Narodu Polskiego, ale w praktyce jakoś dziwnie nie wierzymy w to. Jak że można pogodzić ciągłe ględzenie o naszych „wadach narodowych": jak kłótliwość, niezaradność i tp. z myślą o posłannictwie. Jedno albo drugie.

Albo naprawdę jesteśmy narodem przeżartym wadami, wtedy musimy sami oczekiwać posłannictwa które nas uzdrowi. Albo wady nasze są nie tak straszne, zalety zaś duże — wtedy posłannictwo nasze musimy realizować.

Kierownicy naszej polityki państwowej i gospodarczej robią wszystko aby podkreślić wady, ukryć zalety.

Poruszymy tu kilka zaledwie przykładów.

Bezrobocie — plaga rzesz pracujących. Cośmy w tej dziedzinie zrobili.

Dziesiątki tysięcy robotników mrze z głodu, nie mogąc znaleźć zarobków. Już sama długotrwała bezczynność wpływa na człowieka demoralizująco, szczególnie zaś na Polaka, który jest skłonny do kontemplacji filozoficznych. A tu jeszcze wypłaca się zapomogi. Na życie tej zapomogi nie wystarczy— ale na to aby słabsze charaktery oswoić z jałmużną, z żebractwem to jest aż nazbyt wiele.

Jeśli gdziekolwiek bezrobocie grozi wrzeniem wygłodzonych mas — fabrykant otrzymuje pożyczki w celu zwiększenia produkcji.

Czyżbyśmy już wszystkie niezbędne prace wykonali? Czyż mamy dość dróg, kolei, spławnych rzek?

Bezrobocie w Polsce jest skutkiem niedołęstwa czynników odpowiednich. Niechno ci do kogo to należy poszukają — znajdą drzewo w lasach państwowych dla budowy mostów, kamienie, żwir, piasek na gruntach państwowych dla budowy szos, niech kolej wstawi do budżetu jeden drugi miljon osiokilometrów na wydatki bezwrotne. Gdyby uczyniono to przed 5 laty mielibyśmy już parę tysięcy kilometrów nowych szos, kolejek, kolei. Miljony litrów mleka, miljony metrów zboża wypłynęłoby z ukrytych w głębi kraju, lasów i błot, wsi i majątków. Miast opracowania wielkiego planu pracy, opracowano plan rozdawnictwa jałmużny.

Skądże naród ma czerpać „radość tworzenia" kiedy mu na każdym kroku pokazuje się dziadostwo.

O sposobach zatrudnienia bezrobotnych pomówimy w następnych numerach, gdyż uważamy za rzecz wysoce niemoralną krytykować bez podania lepszego wyjścia.

Osadnictwo — czy widział kto większe marnotrawienie dobra społecznego.

Myśl dobra i słuszna, ale jakżesz haniebnie niedołężne rozwiązanie. Z jednej strony tysiące osadników puszczono z gołemi rękami na działki, bez konia, bez pługa, bez możności nabycia na dostępnych warunkach potrzebnych przedmiotów. Miast stworzyć potężny aparat finansowy któryby korzystając z państwowych lasów postawił niezbędne zabudowania jak to ongiś uczynili niemcy, miast dodać do każdej działki potrzebny inwentarz — i to wszystko razem dopiero oddać osadnikom — rzucono ich na pastwę losu. Z drugiej, miast pokazać t. zw. mniejszościom naszą wyższość kulturalną i ekonomiczną skompromitowaliśmy się na długie lata, jako naród przodujący.

Nie szukajmy tu winy sanacji, bo to jest wina całego narodu wraz ze wszystkimi dotychczasowymi rządami. Spójrzcie co zrobiła Francja. Czy sądzicie, że to rząd odbudował zniszczone prowincje. Nie—naród francuski to uczynił. I to bez łzawych dobroczynności. Poprostu szereg powstałych towarzystw odbudowy przy poparciu jaknajwiększem rządu załatwiło całą sprawę na zasadach handlowych.

A gdzież u licha jest potęga zbiorowości narodu, gdzież ten duch postępu, zdobyczy, który nas ongiś prowadził.

Niewola stuletnia zżarła nam stos pacierzowy, dusza nasza jest jakaś sflaczała. Nie mamy zawziętości zdobywania, rozszeżania się, nie wierzymy w nasze potrzeby dziejowe. Nasi najbardziej zdecydowani „prawicowcy" — wolą zostawić połowę ziem białoruskich z głównym ośrodkiem historycznym po stronie sowietów, żeby broń Boże zadużo nie wziąść. (Traktat Ryski z Sowietami).

Nie umiemy naszych prac rozwinąć „na całego" — nie umiemy rąbnąć z całego rozmachu. Nie umiemy dziś ani kochać, ani nienawidzieć. To też dzielimy się dziś na dwa i obydwa niemrawe obozy — jedni sami nie wiedzą czego chcą i idą na ślepo za Piłsudskim, drudzy również nie wiedzą czego chcą i idą na ślepo przeciwko Piłsudskiemu.

Nie przeczymy, że w jednym i drugim obozie są jednostki, które wiedzą czego chcą i dokąd idą. — Ale to są jednostki — zbiorowość narodu jest głucha i niema. Dusza narodu wegetuje w obserwacji i wyczekiwaniu.

Załamała się ofenzywa ducha narodu. Zabrakło nam heroldów co dusze wiodą w bój, zabrakło nam rycerzy z bajki, budzących śpiące królewny cnót narodowych. Ale dzień przebudzenia nadejdzie. Przyjdzie mistrz narodu, który przerwie jego sen. A z serca jego buchać będą płomienie miłości dla kraju i narodu, dumy z należenia do wielkiej rodziny Polaków, wiary w genjusz swego narodu.

LODY RUSZAJĄ

Jednym z głównych błędow niepowodzeń prawicy było i jest, że ta starannie unikała zajęcia wyraźnego stanowiska w dziedzinie suwerenności narodu polskiego.

Jak dotychczas jest t opolityka „preczów".

Precz z komunizmem, z socjalizmem, sanacją, Piłsudskim, precz, precz, precz!!!

Ale nikt dotychczas nie wie co na ich miejsce ma przyjść.

To, że dziś jest źle, że drożyzna hula, że lotnicy giną i t. d. nie jest jeszcze dowodem, że przed majem było lepiej. Jeśli się więc nie ma nic innego do przeciwstawienia przeciwnikom politycznym oprócz krytyki, to nie jest to ani użyteczne, ani rokujące nadzieje na zwycięstwo.

Czy to dobrze, czy źle mniejsza o to, ale stwierdzić należy, że społeczeństwo już coraz mniej jest stadem baranów politycznych. Kto sądzi, że jest bierne, ten się myli. Naród rozważa. Cóż mu mogą dzisiejsze grupy prawicowe przedstawić do przyjęcia. Krytyka sanacji — to mało, naród ma nie mniej żalów do prawicy.

Podniecanie nastrojów w związku z taką lub inną uchwałą senatu — to mało, naród już się przekonał, że rezolucje bez mocy działania, że wiece poczciwych wielkobrzuszków — nikogo nie emocjonują.

Dla tego witamy z radością głos takiego znawcy zagadnień ustrojowych, jakim jest b. senator Joachim Bartoszewicz.

Mamy przed sobą artykuł jego zamieszczony w Nr. 18 Myśli Narodowej p. t. Ustrój władz w Państwie.

Przeczytajmy (wyjątki) co mówi senator Bartoszewicz:

„Pospolicie się mówi, że istnieją trzy kierunki władzy państwowej, mianowicie: władza prawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Dodaje się przytem, że w prawidłowo urządzonem nowożytnem państwie winien być przeprowadzony ścisły rozdział tych trzech władz. Ustalając jednakże te powszechnie znane prawdy nie wolno zapominać o tem, że państwem rządzi władza najwyższa, władza udzielna i zwierzchnicza lub mówiąc z cudzoziemska — władza suwerenna, która jest jedna, absolutna i niepodzielna. Dzierży ją i wykonywa każdoczesny panujący, którym może być bądź monarcha absolutny, bądź monarcha konstytucyjny w imieniu narodu, bądź sam naród w ustroju republikańskiem. Owa najwyższa władza obejmuje w sobie wszelkie dziedziny rządów i panującemu służy prawo wydawania ustaw oraz ich wykonywania, sądzenia sporów i karania winnych. Otóż panujący może, a przy pewnym rozwoju aparatu państwowego nawet musi wydzielić pewne funkcje i powierzyć je specjalnie do tego powołanym ludziom, organom czy urzędom. To więc, co nazywane jest rozdziałem władz w państwie jest tylko rozdziałem funkcyj najwyższej niepodzielnej władzy państwowej. Panujący który wydziela i powierza te funkcje swym pomocnikom i zastępcom, nie zmniejsza przez to swoich uprawnień tak, jak dziedzic siedzący na majątku nie pomniejsza swej władzy przez to, iż oddaje prowa-

dzenie gospodarstwa rządcy lub powierza swe rachunki buchalterowi."

Omawiając dalej nadzwyczaj treściwie i rzeczowo historję parlamentaryzmu, przechodząc do stosunków polskich mówi:

„Reforma więc naszego źle funkcjonującego parlamentaryzmu jest koniecznością państwową. Czy ma ona iść w kierunku zupełnego zniesienia parlamentu? Są ludzie w Polsce, którzy takie radykalne lekarstwo z zapałem wychwalają i proponują. Przypomina to ową anegdotyczną receptę o odcięciu głowy dla pozbycia się migreny. Pewno, głowa nie będzie boleć skoro jej niema, ale czy przytem funkcjonować będzie serce lub żołądek? Możnaby z równą racją żądać skasowania rządu, jeśli dany rząd źle spełnia swe zadanie. Trzeba pamiętać, że parlament ma sobie powierzoną pewną funkcję najwyższej władzy państwowej, którą piastuje naród. Inną znowu funkcję tejże samej władzy spełnia rząd. W razie skasowania parlamentu, jego władza wraca do narodu, ale bynajmniej nie przechodzi automatycznie na rząd. Przy konstytucyjno - parlamentarnym ustroju zachodnio - europejskiego typu, jaki dziś posiadamy, rząd nie stoi ponad parlamentem i uprawnienia tego ostatniego nie wypływają z woli władzy wykonawczej, raczej jest odwrotnie, skoro parlament ma prawo kontrolowania rządu. Ponad sejmem, tak jak ponad rządem i ponad władzą sądowniczą, stoi naród, któremu jedynie przysługuje władza najwyższa w państwie i który jeden ma prawo funkcje tej władzy rozdzielać i powierzać odrębnym instytucjom. Naród mógłby, kasując parlament, przekazać jego funkcje rządowi. Pytanie tylko, czy toby było posunięcie celowe i racjonalne. Nie zapominajmy, że parlament nie jest tylko ciałem ustawodawczem i że do niego należy także kontrolowanie rządu. Nie można przekazać rządowi kontroli nad rządem; byłoby to zniesienie wszelkiej kontroli nad rządem i wytworzenie rządu absolutnego. Już z tego przykładu widzimy, że usunięcie parlamentu nie jest łatwym i prostym sposobem wyjścia z trudności, jakie stwarza niezastosowany do warunków ustrój parlamentarny. Trzeba więc pomyśleć o innych środkach naprawy.

Naprawa ta mogłaby iść w dwóch różnych kierunkach. Należałoby bądź dostosować sposoby i formy naszego życia politycznego do tego typu ustroju parlamentarnego, którysmy sobie na wzór angielski i zachodnio - europejski nadali, bądź też odwrotnie — dostosować formę i uprawnienia parlamentu do istniejących warunków naszego politycznego myślenia i działania. *W obydwu tych wypadkach należy przytem mieć wzgląd na znaczenie narodu jako czynnika panującego i decydującego o losach państwa.* Pierwszy sposób reformy byłby przedsięwzięciem nie rokującem powodzenia. Okazało się to zresztą w ciągu historji parlamentaryzmu w kontynentalnej Europie. Kryzys parlamentaryzmu wynikł właśnie z tego powodu, że społeczeństwa zachodnio - europejskie nie mogły się nałamać do treści i formy angielskiego życia politycznego. Nie łatwo jest zmienić psychologję narodu, urobioną długoletnią historyczną tradycją Szczególnie trudno jest zaszczepić obce formy ustrojowe wśród narodu, który przyjął u siebie analogiczne formy o innej treści. Polska, jak wiemy, miała oddawna swój własny parlamentaryzm zupełnie odmienny od angielskiego. Tradycja tego parlamentaryzmu jest tak silna, że wtłacza w obce wzory swoje własne ideje i z cennej dla obcych formy wytwarza aparat bezużyteczny, a nawet szkodliwy. Trzeba więc pójść w przeciwnym kierunku i zmienić aparat, który nie odpowiada warunkom życia. Jak to należy uczynić?

Przedewszystkiem pamiętać należy, iż parlament jest przedstawicielstwem narodu. Trzeba też zdawać sobie sprawę z tego, czem jest naród i jaka rola przysługuje mu w państwie dzisiejszem. W Polsce, jak wiadomo, pojęcie narodu nie pokrywa się z pojęciem ogółu obywateli państwa. Tymczasem nasza ultrademokratyczna konstytucja marcowa, wprowadziwszy zupełne równouprawnienie polityczne wszystkich, którzy formalnie są do państwa przynależni, sprawiła, iż parlament u nas nie jest przedstawicielstwem narodu, lecz ogółu obywateli. Taki stan musi być stanowczo zmieniony. Jakże bowiem można dawać takiemu parlamentowi te wielkie uprawnienia, które mu z natury rzeczy przysługują i które istotnie posiada. *Przecież tylko jeden naród polski (w znaczeniu politycznem, a nie etnicznem) może mieć prawo decydowania o losach Polski, stanowić o jej prawach i urządzeniach, o pokoju i wojnie.* Takie decyzje mogą być tylko wynikiem woli i myśli owianych wspólnym patrjotyzmem polskim, a nie owocem wypadkowego kompromisu z czynnikami obcemi i Polsce wrogiemi. Parlament więc, jaki dziś posiadamy nie może mieć praw parlamentu angielskiego czy zachodnio-europejskiego. Przekształcenie naszego parlamentu w przedstawicielstwo narodu może być dokonane różnemi, mniej lub więcej radykalnemi sposobami. Nie wchodząc w te szczegóły, zauważyć można tylko, że już przez odpowiednią reformę ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych cel ten, jeśli nie w zupełności, to w znacznej mierze osiągnięty być może."

Jak widzimy jest to zupełnie wyraźne uzasadnienie naszego stanowiska w odniesieniu do praw Narodu Gospodarza. Starsze pokolenia nie łatwo przyjmują nowe myśli młodego pokolenia. Ale oto widzimy światła wśród cieniów bezruchu myślowego. Oto najpoważniejszy umysł wśród stronnictw prawicowych — powiada: Naród polski musi być gospodarzem w kraju. Dziwimy się jedynie, że prasa tegoż obozu politycznego nie kontynuuje dyskusji. Dlaczego? Toć to pierwsza myśl pozytywna o naprawie ustroju.

CHRZEŚCIJAŃSKA REWOLUCJA PRZECIW KAPITALISTYCZNEMU USTROJOWI GOSPODARCZEMU

(KAP) „Wiedeński tygodnik „Schönere Zukunft" ogłosił szereg artykułów wybitnych publicystów katolickich na temat nowożytnego kapitalistycznego ustroju gospodarczego, w których wytknięto wady tego ustroju i konieczność przekształcenia go w duchu wymagań chrześcijańskich. Artykuły te wzbudziły żywy odgłos w kołach naukowych i społecznych. W ostatnim swojem zeszycie przytacza „Schönere Zukunft" bardzo znamienne wywody odzwierciadlające zapatrywania stowarzyszeń chrześcijańskich robotniczych w Niemczech. Przytaczamy poniżej najważniejsze ustępy tego artykułu.

— Rządy spoczywają w ręku ludu, który posiada pełnię władzy, lecz silniejszym od ludu jest ustrój kapitalistyczny, silniejsze od ustaw państwa są ustawy przez ustrój kapitalistyczny podyktowane. Silniejsze są kartele, trusty narodowe i międzynarodowe oraz umowy cennikowe. Silniejszą jest międzynarodowa finanserja, silniejszy jest pieniądz, który daje procenty i dywidendy. Potężniejsi są magnaci pieniężni, banki i akcjonariusze tworzący górną warstwę społeczeństwa, pod którą uwija się cały zastęp pośredni-

ków i pasożytów, którzy z rzeki krwi gospodarczej chcą zaczerpnąć soki odżywcze. Odnosi się wrażenie, że ludzkość całą ogarnął jeden potężny szał, którego hasłem jest: Zarobić! Wszystkim chodzi tylko o dobry zarobek, a nikt z nich nie zapyta, czyja praca złożyć się ma na ten ich zarobek. To ich nic nie obchodzi, bo któżby myślał o swym bliźnim! Zaraza ta poczyna już rozsadzać i szeregi stronnictw politycznych. Cóż za wartość przedstawia światopogląd, skoro w grę wchodzą względy materjalne. Wręcz fantastycznie brzmią cyfry zysków, jakie jeden bank ciągnie z pośrednictwa pożyczek niemieckich lokowanych w Ameryce. Tysięczne rzesze robotników muszą ciężko pracować do upadłego, by złożyć się na ten zarobek banku, a o groszową poprawę zarobków robotniczych walczyć trzeba całemi tygodniami!

Lud jest bezsilny i bezradny wobec tych ustaw gospodarczych wobec tego ustroju kapitalistycznego. I gdyby nawet masy robotników zagarnęły całą władzę w swe ręce, czyżby sprostały ustrojowi kapitalistycznemu i zniweczyły ten jad zatruwający dusze? Cóż znaczą republikańsko - socjalistyczne ustawy i rozporządzenia? Leczy się objawy zła, lecz istoty zła się nie usuwa. Ten sposób leczenia nikogo nie zadowoli.

Budzą się jednak inne siły duchowe, nie mające z socjalizmem nic wspólnego, które sposobią się do walki z kapitalizmem jako ustrojem gospodarczym i zapatrywaniem życiowem. Budzi się nowe życie w Kościele Katolickim, który zrozumiał, że nienawiść i niewiara rodzą się z ducha kapitalistycznego i jak zaraza ogarniają coraz to większe rzesze. Kościół Katolicki zrozumiał, że tkwimy w rewolucyjnym okresie rozwoju ludzkości, wywołanym nie tylko wojną i jej następstwami. Narazie mamy do czynienia z rozprawami teoretycznemi, lecz wieje z nich duch rewolucyjny. Teolodzy, ekonomiści i etycy toczą dyskusję na temat kapitalizmu. Zastanawiają się oni nad tem, czy kapitalizm to tylko technika gospodarcza, czy rodzaj gospodarki, czy jest on czemś więcej. Czy chodzi może o zapatrywania życiowe i poglądy na świat, z których rodzi się kapitalistyczny ustrój gospodarczy? Innemi słowy czy istota kapitalizmu jest zła, czy też mamy do czynienia z ujemnemi wybujałościami systemu, który sam przez się jest ani dobry ani zły? Na to zasadnicze pytanie dano dwie wręcz przeciwne sobie odpowiedzi. Jedni powiadają, że kapitalizm jest w istocie swej złem. Przedstawia on nie tylko ustrój gospodarczy, lecz i zapatrywanie życiowe oraz światopogląd, które są również złem. Głównym przedstawicielem tego zapatrywania jest opat Wiesinger, który ma licznych zwolenników. Rzecznikiem przeciwnego obozu jest Ks. prof. Biederlack T. J., który powiada: „Kapitalizm nie jest ani dobry ani zły, lecz należy zwalczać jego dzisiejsze wybujałości. Rozstrzygającą rzeczą jest sprawa chrześcijańskiego pojęcia własności". Ks. Biederack sądzi, że prawo rozporządzania mieniem nie ulega żadnym ograniczeniom przy posługiwaniu się mieniem, to ograniczenie musi jednak być wprowadzone na mocy ustroju obyczajowego. Ta interpretacja nie wielu ma zwolenników. Większość jest zdania, że nikomu nie wolno wedle własnego uznania rozporządzać zupełnie dowolnie swem mieniem, gdyż ta wolność rozporządzania mieniem podlegać winna kontroli i ograniczeniom podyktowanym względami na dobre ogółu. Wielki katolicki ekonomista Ks. Pesch T. J. powiada w swem dziele „Naubau der Geselschaft" (Nowa budowa społeczeństwa): — Wobec kapitalizmu zająć musimy jasne stanowisko. Obowiązkiem naszym jest pouczyć lud, że indywidualistyczny kapitalizm jest najjaskrawszem przeciwieństwem chrześcijańskiej nauki socjalnej i moralności. *Kapitalizm i chrześcijaństwo są tak sprzeczne, jak ogień i woda.*

Sąd ten, który brzmi jak hasło wojenne, wydał Ks. Pesch już w r. 1919, lecz sporo czasu upłynęło, zanim zrozumiano, o co dzisiaj chodzi. *Chodzi nie mniej nie więcej, jak o chrześcijańską rewolucję przeciw kapitalistycznemu ustrojowi społecznemu.* Rewolucja socjalistyczna i bolszewicka zawiodły. Lecz jeśli Europa dalej zapędzi się w kierunku kapitalistycznej niewoli — są tacy, co nazywają to postępem — to przyjść musi do masowych rewolucyj, które wszystko zmiażdżą, a co straszniejsze — djabelski duch kapitalizmu i wówczas nie zniknie. Zaraza przesączy się w nowe życie. Dowodem Rosja bolszewicka! *Jedyną drogą wyjścia i zbawieniem jest chrześcijańska rewolucja, wprowadzenie w życie nauki Chrystusa,* głoszącej, że jeden człowiek jest bratem drugiego człowieka, że każdy z miłością i braterstwem odnosić się ma do swego bliźniego. Chodzi o rewolucję poczętą wewnątrz serc, którą każdy przejść musi, o rewolucję, która ma człowieka przeistoczyć tak, by w zarobku nie widział najwyższego celu życiowego, by czuł się współodpowiedzialnym za dolę i niedolę swego bliźniego i brata. Niech nikt nie mówi, że to utopja, ponieważ w 19-stu stuleciach chrześcijaństwa, celu tego nie dopięło. Jest to jedyna droga, którą ludzkość pójść może. Wolność, prawo i pokój zrodziły się z chrześcijańskiego ducha. Czas nadszedł i znaleźć się muszą ludzie do pracy, lecz ludzie, którzy nie myślą o sobie".

Dyskusja ta ma dziś ogromne znaczenie. Przedewszystkiem dla tego, że jest dowodem rozszerzenia sfery użytecznego działania wpływów religijnych. Kościół przez długie wieki opiekował się jedynie duszami i w nieznacznym stopniu chorymi. Dzięki temu wiara stała się oderwaną od codziennego życia, przestała być zdolną nieść pociechę w dziedzinie nędzy materjalnej.

Masa wiernych widziała cały bezmiar nadużyć i przemocy dzisiejszego ustroju kapitalistycznego, widziała, że ustrój ten oddał w ręce żywiołów antyhumanistycznych losy mas narodowych.

Widział opanowywanie świata przez naród, którego historja i religja czyni zeń naród — pasorzyt widział nad sobą bat żydowski.

A kościół gromił małe, ludzkie grzechy biednego człowieka, potępiał krótkie obcinanie włosów, krótkie suknie i t. d., a o największej zbrodni świata, o wyzysku, do jakiego prowadzi dzisiejszy ustrój kapitalistyczny — milczał.

Księgi ojców kościoła przestały być źródłem natchnienia mas. Tem prędzej masy uwierzyły w nauki płynące z ksiąg Marksa, ksiąg socjalistycznych.

Głosy niemieckich księży Pescha i Biederlacka nie należy naturalnie zbyt przeceniać. Oni — to jeszcze nie jest kościół. Ale ziarno przez nich wzięte ze skarbnicy Chrystusa i rzucone w świat — niezawodnie wyda plon.

Wtedy demokracja stanie się znowu, jak za czasów Chrystusa — córką kościoła.

ŻÓŁTĄ KAMIENICA

Od lat już wielu stałam w tem nieszczęsnem miejscu. Ja, stara żółta kamienica.

Genezy swojej nie pamiętam dobrze. Wiem, że było dużo, dużo stuku, że nad złożeniem mem pracowały całe legjony ludzi, nie szczędząc pracy ni po-

tu. Wspomnienia moje datują się mniej więcej od tej szczęśliwej młodzieńczej epoki, kiedym spoglądała na świat z sześciopiętrowej wysokości, a ludzie zabierali się właśnie do starannego wiązania dachu. Och ci ludzie. Cała moja egzystencja z niemi ściśle jest związaną, to też zachowałam ich we wdzięcznej pamięci.

Dowiedziałam się później, że śpiewają oni swym niemowlętom coś bardzo rzewnego, przypominającego niekiedy igranie wichru w kominie, to coś — nazwali sobie kołysankę. Mnie przeklinali oni tworząc, przeklinali swój trud i swe wysiłki. Pamiętam, że lubiłam bardzo te przekleństwa. Rozkoszowałam się niemi jak dzieci kołysanką.

Wreszcie dnia pewnego usłyszałam okrzyk radości.

Byłam gotowa.

I odtąd skończyły się moje samotne noce, we wnętrzu mojem byli zawsze ludzie.

Gdy poczułam, że istnieję już naprawdę zaczęłam przyglądać się uważniej otoczeniu. Najbliższemi sąsiadami memi byli: czteropiętrowy szary gmach, w którym mieścił się komisarjat policji, cechowała go duma i nieprzystępność, z drugiej zaś wesoły hałaśliwy tingl-tangl. Byłam najwyższą z nich, lecz niedoświadczoną, a one traktowały mnie każda na swój niesłychanie lekceważący sposób.

W dzień słoneczny, promieniałam cała, świetna w swej żółtości.

Nie będę się rozwodzić kim byli moi mieszkańcy, zaznaczyć pragnę jedynie, że oprócz 2-ch psów, 5-ciu kotów i jednego dorożkarskiego konia wszyscy byli ludźmi.

W słoneczne ranki, (które lubiłam najwięcej) na podwórze moje wyglądała cała chmara dzieci .Duże, małe, krzykliwe, chorobliwe, ciche spokojne żywe. Często z powykrzywianemi przez angielska chorobę nogami —wszystkie one śpieszyły na moje podwórze.

Tam biegały, używały swobody biednych dzieci wielkiego miasta. Tam żyły.

Pamiętam zwłaszcza małego ślepego Antosia. Podnosił zawsze charakterystycznym ruchem niewidomych głowę do góry i utkwiwszy swe martwe źrenice w słońce siedział tak godzinami, a promienie jego głaskały dziecinę po twarzy, pieściły. Były to zdaje się jego najprzyjemniejsze chwile, kończyły się one zwykle, gdy inne dzieci spostrzegały Antosia. Podbiegały wówczas do chłopczyny i wciągały go przemocą do swoich zabaw. „Hę Antoś ty będziesz Niemcem. My Polacy. Bić, bić przeklętego szwaba, patrzcie jaki on głupi nie ucieka wcale. Hej naprzód na wroga". I sypały się wówczas razy na Antosia. On stał blady, znosząc ze stoicyzmem plagi. Na twarzy jego nie widać było cierpienia, czuł się szczęśliwym, że bodaj tak bolesnym kosztem może wziąć udział w zabawach swych rówieśników. On, ślepy Antoś.

Wstydził się nadewszystko swej ślepoty, gdyż przez całe jego krótkie życie śmiano się z tego. „Patrzcie Antek ślepy Antek, niedołęga".

Wówczas płakał.

Pamiętam, popchnięto go raz. Zaczepił nogą o kawałek drzewa i upadł głową naprzód na twardy asfalt mego podwórka. Leżał później nieruchomo, aż dzieci zlękły się i zawołały stróża.

Więcej Antoś nie wyszedł na podwórko. Kumy powiadały, że podobno czaszka pękła mu od uderzenia.

W trzy dni później w czarnej skrzyni wyniesiono ślepca...

Lecz w życiu mojem oprócz dni słońca były i dnie dżdżu. Ociekałam wówczas cała strumieniami wody. Kąpałam się. Igrałam z kropelkami ściekającemi do rynien i bryzgałam niemi na ulicę.

W dnie takie nie wychodziły dzieci na podwórze. Mieszkańcy chodzili szybko z podniesionemi kołnierzami lub otwartemi parasolami. Wszyscy byli źli. Stróż z miotłą zamiatał kałuże. A mnie sama nie wiem czemu porywał wówczas śmiech pusty. Może dlatego, że mieszkańcy moi lubili mnie wtenczas więcej, pod skrzydłami memi znajdując schronienie.

Na pierwszej mej płaszczyźnie, piętrem przez ludzi nazwanej, mieszkały dwie rodziny. Po prawej stronie hrabia Hyszkiewicz, po lewej kupiec Jakobson.

Jak jedne, tak i drugie nie darzyłam sympatją.

Do hrabiego schodziło się mnóstwo gości. Prawili sobie dużo grzeczności, mówili bardzo uczenie o literaturze, sztuce, polityce, niekiedy o wyścigach i kobietach. Siedzieli przytem zawsze sztywno: panie z zimno pogodnemi uśmiechami na wyróżowanych wargach, panowie z cyniczno znużonemi wyrazami twarzy. Nie rozumiem tylko dlaczego sprowadzali sobie sami tyle gości gdyż zawsze po ich wyjściu narzekali, i niezostawiali na nich suchej nitki. Studenci z 6-tego mówili: „ci ludzie wielbią formę, do formy się modlą i formą jest ich całe życie, pozostałości feudalnego blichtu". Ciż studenci mawiali o Jakobsonie: „że ten parszywy żyd goni tylko za złotym cielcem. Słów ich nie zrozumiałam wprawdzie, bowiem Samuel Jakobson jadał chętnie i prawdziwe cielęta. Pani kupcowa mówiła, że dom ich nie ustępuje ani pod względem dobrego tonu, ani pod względem kultury hrabiemu Hyszkiewiczowi, przewyższa go tylko kapitałem i 60-cio konnym Mercedesem.

Patrjarchalny dziadzio kiwał poważnie siwą brodą i mruczał wreszcie zazwyczaj „nu synowo, a dlaczegoma nie przewyższać ", czem przecinał dalszą dysputę.

* * *

Reszta mieszkańców należała do warstwy, która bezustannie mniej lub więcej rozpaczliwy sposób, przemyśliwała nad zdobycie środków utrzymania. Więc kilka rodzin urzędniczych, szewc p. Godlewicz, krawiec Przyjemski, dorożkarz Klaczewicz (zarazem właściciel owego konia, o którym już wyżej wspomniałam) i dwaj studenci. Ci ostatni byli być może najbiedniejsi, najhałaśliwsi i najweselsi ze wszystkich moich pupilków.

* *

Nadeszła zima. **Biały płaszcz przyozdobił mój szary dach, przykrył** podwórko, parapety, jednem słowem wszystko na czem się tylko mógł utrzymać. Mróz wyrzeźbił misternie szyby moich okien. Oglądałam ciekawie tę nową podówczas dla mnie porę roku.

Bogaci cieszyli się, kazali służbie znosić olbrzymie ilości czarnego węgla i palili bezustannie. Z kominów buchałam wtenczas wesoło kłębami czarnego dymu i zaczęłam już z mniejszym podziwem spoglądać na moje dwie niższe sąsiadki.

Ludzie biedni szczękali zębami i złorzeczyli. Studenci tlko śmiejąc się rozbijali skorupę lodową, która przez noc zwykle osiadała na misce, i sypiali w paltach.

Najgorzej przeklinała los swój stara szkapa p. Klaczewicza — dorożkorza.

„10 — 12 godz. ciągłego przebywania na mrozie i to w ustawicznej grozie bata srogiego pana. To

ciężkie, bardzo ciężkie, i wszystko to dla szczypty siana i garstki stęchłego owsa". Wzdychała mówiąc to żałośnie szkapa p. Klaczewicza. Mnie było jej żal, być może, że więcej żal niż biednego Antosia.

Mijały lata. Hej czas.

Gdzie jesteś ty hoża, żółta kamienico? Gdzież piękność twa?

Teraz jestem już stara barwa ma utraciła ów czarujący odcień roztopionego złota. Stałam się bladą, wyblakłam.

I zamieszkujący mnie ludzie zmienili się. Wielu z nich pomarło, wielu ubyło. Studenci przestali być studentami, są obecnie na stanowiskach i bezpowrotnie utracili swą beztroskę i wesołość.— Stali się źli, zgryźliwi i nieufni.

Takiemi zrobiło ich życie.

Nowe dzieci bawiły się na podwórku i tak mijał czas. Rok był podobny do roku, tylko wciąż pupilki me, ludzie zmieniali się, odchodzili i przychodzili naprzemian. Dorożkarskiej szkapy, która zdechła 2-a lata temu nie zastąpił dotychczas nikt.

Hej, co się dzieje, coś pali mnie, boli. Ratunku dzieci me. Żółte płomienie, płomienie roztopionego złota ślizgają się po ścianach moich. „Pożar, pożar" wołają ludzie i uciekają z mego płonącego wnętrza. Inni znów w metalowych hełmach oblewają mnie chłodzącemi strumieniami wody i amputują bez litości wszystkie poddające się ogniu części.

„Pali, pali" jęczę głucho i stękam potężnie pękającemi murami. Nie mam już ani jednej szyby. Cała jestem poparzona w bąblach. Dym otacza mnie gęstą chmurą. Ten sam niewdzięczny dym, którym tak lubiłam bawić się w kominach. Ludzie uciekają przerażeni: „wody, wody". I znów leją na mnie całe potoki zbawczego płynu. Naprożno! Żywioł ognia triumfuje. Pochłania z jakąś dziką brutalnością wszystkie dające się pochłonąć części. Walczę z nim ostatkiem sił potężnych mych spojeń. Aż wreszcie huk straszliwy wstrząsa powietrzem. Grad cegieł, tynku, wapna, odłamków szkła i płonących kawałków drzewa spada na głowy zbyt blizko stojących ludzi.

To zawaliłam się ja żółta kamienica.

Ktokolwiek mógłby sądzić, że po owej strasznej katastrofie przestałam istnieć. Nie. Czułam i myślałam dalej, tylko jakoś inaczej. Spoglądałam na świat i na moje dwie nieco osmalone przezemnie wprawdzie lecz piętrzące się jeszcze dumnie sąsiadki z dołu.

Powoli zgliszcza przestały dymić się. Gdzież świetność moja? Jestem obecnie bezładnem rumowiskiem. I zrobiło mi się smutno na mojej kamiennej duszy.

Noc!

Cicha, tajemnicza, to znów gwarna i złowroga.

Noc wielkiego miasta.

Słychać od czasu do czasu warknięcie motoru, turkot dorożki, dzwonek tramwaju nocnego lub kroki zapóźnionego przechodnia.

W taką noc robi się niekiedy straszno.

Księżyc wzeszedł i nadaje ulicy fantastyczne kształty. Światło jego zlewa się z migotliwem światłem latarń.

Srebrny półmrok! Wśród niego uwijają się ludzie nocy.

Kamienice rzucają podłużne cienie. Niekiedy na dachu przeraźliwie zamiauczy kot swą głośną serenadę.

Taka to noc ogarnęła mnie obecnie. Noc wiosenna.

Nie byłam sama. Na zgliszczach mych, na miejscu gdzie znajdowało się dawniej podwórko siedział obecnie biedny ślepy Antoś i przewodził wszystkim tym, którzy tutaj pomarli. Mówili coś długo, szeptali, śmiali się i bezszelestnie przesuwali się z kamienia na kamień, to znówe wygrażali długiemi szarozielonemi rękoma miastu. W powietrzu był zapach trupi, nieszczęścia i krzywdy.

Tak skarżyła się żółta kamienica. Usłyszał ją wiatr i powieść jej powiał hen daleko.

W kilka dni później uprzątnięto zgliszcza. I wywieszono napis: „Duży plac do sprzedania. Wiadomość"... tu następował adres.

Lecz ludzie mówili, że plac ten jest dziwnie ponury, że nocą widać jakieś cienie i słychać chichoty, to znów jakby z pod ziemi dochodzi rżenie koniae i turkot wyjeżdżającej dorożki. I długo stał ów dziwny plac. Nocą unikali go ludzie, tylko wiatr wiał tedy niekiedy, ciekaw co też się stanie z grobowcem żółtej kamienicy.

Aż pewnego dnia przyszli znowu, coś długo naradzali się, w końcu widocznie na coś się wszyscy zgodzili.

Za parę dni pusty plac wypełnił się ludźmi, wozami, końmi i takimi śmiesznymi pudłami na czterech kołach.

Przyglądałam się temu wszystkiemu z wysokości chmury szarego dymu, gdzie się ulokowałam po śmierci mojej — ziemskiej powłoki.

Ale jakże inni byli ci ludzie od tych, którzy budowali żółtą kamienicę. Ich pieśni nie przypominały mi już smętnej kołysanki, raczej wesołe szmery kominka, przy którym w zimie grzeje się dziatwa.

Dlaczego tamci byli smętni?

Długo myślałam nad tem i nie mogłam zrozumieć.

Ludzie skończyli kamienicę, pomalowali ją na biało, była jakaś promienna.

Któregoś dnia obudził mnie hałas i śmiechy dziatwy. Dużo ich było, a każde rozśpiewane jak skowronek.

Czemuż oni wszyscy śpiewają, czemuż oni wszyscy są weseli, a tamci byli smutni? Zapytałam człowieka, który latał wkoło mnie jak ptak.

Bo są wolni, odrzekł, bo budowali „jutro Polski", bo budowali szkołę powszechną.

Zapłakałam z żalu, że w niewoli tylko żyłam — a śmiesznym, małym ludziom, zdawało się, że to pada deszcz.

Jerzy Lewestam.

Warunki prenumeraty:

Rocznie	Zł. 8
Półrocznie	„ 4
Kwartalnie	„ 2

Zagraniczne drożej o różnicę kosztów przesyłki.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 16414.

Ceny ogłoszeń:

Cała strona	Zł 225
1/2 „	„ 125
1/4 „	„ 65
1/8 „	„ 35

Wiersz milimetrowy za tekstem 30 gr., w tekście 45 gr.
Drobne za wyraz 20 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca **Henryk Połoński.** Drukarnia „ARS", Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.